

MATRIARCHAT
MARCIN WOLSKI

Marcin Wolski

MATRIARCHAT

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2023

ISBN: 978-83-67562-56-0

Copyright © Marcin Wolski

Projekt okładki: Karolina Lubaszko

Tekst: Solaris, Olsztyn 2002

I wydanie: WRiT, Warszawa 1978

Od autora

„Matriarchat” powstał przypadkiem. Po prostu, w drugim roku istnienia magazynu „60 minut na godzinę” przyszedł mi do głowy pomysł za duży na jednorazowe 10-minutowe słuchowisko. Postanowiłem zmieścić go w czterech, cotygodniowych odcinkach.

Reszta była zasługą słuchaczy, po zakończeniu czwartego odcinka domagali się telefonicznie i listownie, aby Nasz Ulubiony Ciąg Dalszy (też urodził się wtedy z niczego, a nabrał życia za sprawą wspaniałego głosu narratora Tadeusza Włodarskiego) następował i następował. I tak przypadkiem narodziła się formuła funkcjonująca aż do końca „Sześćdziesiątki” w pamiętnym 1981 roku.

Sam pomysł? Pytano mnie wielokrotnie – zabijcie, nie wiem!

Może to podświadome odreagowanie młodego człowieka wychowanego w domu pełnym niewiast. Może alergiczna reakcja na propagandę z okazji trwającego w 1975 Międzynarodowego Roku Kobiet. Dociec mógłby tego tylko ktoś, kto zajrzałby do mego superego, a ja zahipnotyzować się nie dam.

Zdradzić mogę jedynie genezę pierwszej linijki. Wizja świata po świecie nie odstępowała mnie od kiedy przeczytałem „Szkarłatną Dżumę” Jacka Londona. I to tyle.

CZĘŚĆ I

Istotą Dalszych Ciągów jest ich następowanie.
św. Limeria „Rozprawa o odciskach”

Dwóch Płaskich wylegiwało się na omszałym rumowisku żelbetu. Inna sprawa, czy to naprawdę był żelbet? Dawno zdołano przecież zapomnieć o ekotworzywach, których ostatnie egzemplarze pożarła agresywna roślinność. Po żelazie pozostało jedynie wspomnienie i rdza. Cywilizacja atomu i komputera – czy kiedykolwiek istniało coś takiego?

Dzień miał się ku końcowi, ostatnie zdziczałe automaty skryły się w mroku, ustępując miejsca naturalnym słowikom i żabom.

– Dziś spróbujemy, Ted – starszy Płaski zdecydowanym ruchem odgarnął z czoła gęstą kudłatą grzywę, upodabniającą go do okazałego egzemplarza berberyjskiego lwa, którego w młodości widział na jakiejś płaskorzeźbie.

– Oszalałeś, Fil – zaoponował młodszy, gołowąsy nastolatek, o pięknie opalonej skórze i płowych włosach uformowanych w gigantyczny kołtun. – Przecież opuszczanie rezerwatu jest zakazane!

– Wiem, ale to jest mój obowiązek, zresztą widziałem go. Widziałem go po raz pierwszy od lat.

– Kogo?

– Nasz Ulubiony Ciąg Dalszy. Przed laty, kiedy istniały jeszcze elektroniczne media, istniał taki duch, demiurg ożywiający to wszystko, zwany również Tubi Continued. Skoro jednak on przeżył, mamy szansę. Poza tym jutro kończysz osiemnaście lat i najwyższy czas, abys zdał egzamin dojrzałości.

– Egzamin dojrzałości, a co to takiego dojrzałość? – z oczu Teda wyzierała czysta, błękitna niewinność. – Wiem, co oznacza ten termin w przypadku owocu. Ale człowiek? Dojrzały, czyli taki, który już powinien spadać?

Fil (przed trzydziestu laty nazywany panem Filipem) westchnął. Rzeczywiście, poważnie zaniedbał edukacji chłopaka. Ale od kiedy przed osiemnastu laty znalazł na wpół utopionego w szuwarach oseska, poprzysiągł chronić go przed wszelkimi zagrożeniami Świata Zewnętrznego. Jako niewątpliwy owoc złamanej dyscypliny antyplciowej, Ted powinien zostać bezzwłocznie skierowany do przemodelowania. Fil jednak pogwałcił prawo. Wyniósł szkraba w najdzikszy kąt rezerwatu, na Mokradła Starych Filtrów i Centrum Radiowo-Telewizyjnego, gdzie chłopiec mógł być absolutnie bezpieczny. Wedle krąglóplotek w mateczniku straszyły upiory holowizji i najodważniejsza nawet Frontierka za nic nie zapuściłaby się w te strony.

Dotąd Stary Płaski żywił nadzieję, iż chłopak dojrzeje samoczynnie i pewne sprawy uświadomi sobie, obserwując choćby motylki lub króliki albo nawet zdziczałe roboty, które w widne noce podczas pełni na wygonie Starego Lotniska odbywały elektrotarło, zwierając się obudowami, gmerając sobie nawzajem w podzespołach, iskrząc przy tym siarczystości, co owocowało po jakimś czasie nowym automacikiem. Ale Ted, chłopak żywy jak kropla rtęci i w wielu sprawach nadzwyczajnie bystry, w kwestiach seksu pozostawał zadziwiająco ograniczony. Optycznie rzecz biorąc, niczego mu nie brakowało, nie przejawiał jednak najmniejszej nawet bożej woli, co dla Fila, który mimo poważnego wieku walił konia regularnie trzy razy dziennie, wydawało się niepojęte. A może owo zahamowanie wynikało z faktu, że poza bunkrami, mokradłami i zdziczałymi cybermutantami chłopak nie znał innego świata? Nigdy też nie widział z bliska żadnej Krąglej.

Krąglej! Fil przymyka oczy i naraz wydaje mu się, że znów jest pięknym, dwudziestoletnim mieszkańcem gwarnej stolicy, że sunie ruchomym chodnikiem, wśród domów towarowych, kin i teatrów, atakowany na każdym kroku przez stuk wysokich obcasów na szczupłych nogach, przez furkot kusych spódniczek z rafionu, podniecany zapachami perfum, przyszpilany zaczepnymi spojrzeniami. Cholera! Po policzku mężczyzny toczy się łza. Było, minęło.

Wyruszyli przed zmierzchem. Musieli pokonać około dziesięciu kilometrów do zaoranych pasów wytyczających granice rezerwatu. Nikt ich nie zauważył. Większość Płaskich, którzy dożyli tych czasów, opuściła matecznik, gromadząc się na wschodzie Terenów Wydzielonych, w pogranicznych osiedlach wokół paśników wystawianych przez miłosierne Krągle z Żenszczynowa. Fil gardził postawą rabów-ochotników. Wiedział, że żenszczynowianki karmiły Płaskich nie tyle z miłosierdzia, ale żeby dokonywać na nich seansów nienawiści, polegających na wabieniu ich przez kratę, a następnie dżganiu drągami lub obcinaniu kończyn wysuniętych poza teren rezerwatu. W końcu tak zginął kuzyn Filipa Gwido, zwany Długim Kutafonem, a po Oskarze Wielkonosym porwanym którejś nocy przez nieznane sprawczynie, wszelki śluch zaginął.

Widziane z korony dębu rosnącego na szczycie wzgórza, miasto przypominało kształtem obrusik w kwiatki. Uliczki stębnowane drobnymi ściegami zieleni, krzyżowały się pod kątem teoretycznie prostym, tworząc placyki w formie niedużych bufek z falbanką ogródków, otaczających kamieniczki, przywodzące na myśl domki dla lalek. Budynki uszyte z wielowarstwowego laminowanego materiału, gęsto przystrojone szklanymi cekinami zapinały się na guziczki albo eklerki. Tu i ówdzie błysnęła złocista haftka z włóczkowym kutasikiem zamiast klamki. Teren zgromadzeń znajdował się tradycyjnie na Placyku przed Maglem i tego dnia wypełniał go gęsty tłum Elektorek. Po raz kolejny zebrano się celem wyłonienia Merzycy Miasteczka, co nie było zadaniem łatwym. Wiadomo, że największe szanse miałyby głupia, wiekowa paskuda o miłym charakterze, tyle że akurat takich kandydatek pod ręką nie było. Z frakcji Rudych, Blondynek i Brunetek zgłosiły się same ambitne i szykowne.

– I z kogo tu wybierać? – żaliły się szeregowce Krągle, słuchając wystąpień kolejnych kandydatek.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI